

Byłam trochę jak blondynka z dowcipu, która na pytanie, skąd bierze się marmoladę, odpowiedziała: „Jak to skąd? Obiera się pączka”.

Z Krystyną Jandą rozmawiają

Aleksandra Biały i Paulina Wilk

Co nowego na budowie?

Trudny moment. Musimy powiększyć główną scenę Teatru Polonia, czyli przesunąć się o cztery metry w głąb podwórka. Niestety, wspólnota mieszkańców oprostowała nasz pomysł. A wszyscy specjaliści od teatru mówią, że z tym, co mamy teraz, czyli sceną głębokości pięciu i pół metra, będziemy wyglądać jakbyśmy grali w szafie. Potrzebujemy tych czterech metrów, żeby wyczarować jakąkolwiek magię.

Często zdarzają się takie niespodzianki?

Aż takie nie, mniejsze prawie codziennie. Teraz okazało się, że tam, gdzie chcemy budować ścianę, biegną wszystkie ważne kable. Koszty będą duże, ale nie ma wyjścia. Na szczęście spraw budowlanych nie doglądam sama, pomaga mi mąż. Sprawami finansowymi zajął się Roman Osadnik, a Marta Bartkowska, która odpowiada za PR, zdobywa też materiały budowlane. Jest wiele firm, które starają się budować z nami.

Dostaje pani cement w prezencie?

Głównie stal. Inne kobiety dostają biżuterię, a ja kilkanaście ton stali. Królewska pomoc. To gdańska firma Centrostal. Pomogli zbudować filharmonię w Gdyni i jak słyszą „teatr”, to już wiedzą, że trzeba pomóc. Mam wielki dług wdzięczności w stosunku do kilkunastu firm. Odkąd teatr zaczął grać, wyświetlamy ich loga z podziękowaniami.

Jak pani trafiła do tych firm?

Prezesa Centrostalu pana Zbigniewa Canowieckiego spotkałam na Festiwalu Szekspirowskim, który jego firma sponsoruje. Z kolei na Cementownię Górażdzie trafiłam, gdy już się dowiedziałam, skąd

la budżet, albo że wspierają tylko imprezy sportowe lub młodzież. Teraz zaczynamy budować łóżę sponsorów. Proponujemy zakup dwóch foteli dla pracowników, na cały sezon. Po realnej cenie. To zapewniłoby nam stały zastrzyk 500 tys. złotych co roku, czyli możliwość zrealizowania dwóch i pół premier na dużej scenie. Ze sprzedaży biletów ledwo się utrzymujemy, o produkcjach nie ma mowy. Dochód z łoży sponsorów zapewniłby nam spokój. Oczywiście będziemy dalej startować w konkursach warszawskiego Biura Teatrów i Ministerstwa Kultury. W tym sezonie przystępowaliśmy do konkursów, ścigaliśmy się z domami kultury, fundacjami, organizacjami społecznymi, szkołami, amatorami. Proporcje między dotacjami na teatry a projektami spoza rejestru instytucji kultury są miażdżące dla tych pozbawionych dotacji państwa. I tu jest pies pogrzebany.

Jednak udało się pani zdobyć pomoc miasta.

Dostałam 200 tysięcy na cztery spektakle z cyklu „Kobiety z Europy”.

Wystarczyło?

Skąd. Do każdej dotacji miasta dokładamy minimum drugie tyle z kasy

Kobieta ze stali



mogą przyjść - to przesyłają nam na konto równowartość biletu.

Jak pani oddziela się od stresu związanego z budową, ciągłym brakiem pieniędzy? Umie się pani odłączyć?

Wszystko przeżyję, jeśli wiem, że wieczorem gramy. Jestem aktorką która nie potrzebuje długiego skupiania. Wchodzę na scenę i świat na zewnątrz przestaje istnieć. Już w pierwszych miesiącach remontu zaczęliśmy próby w wynajętej zimnej salce. Bez nich bym tego nie przetrzymała. Próby do „Stefci Cwiek” to były najwspanialsze momenty. Zimno, do domu daleko, a my wariowaliśmy ze śmiechu. A swój monodram „Ucho, gardło, nóż” ćwiczyłam w nocy, między rurami, po tym, jak wyszli robotnicy.

Jak się pani dogaduje z robotnikami? To dramatyczny przeskok ze świata teatru?

Mam doświadczenie. Wcześniej wyremontowaliśmy z mężem dwa duże domy. Zabytkową willę w Milanówku ratowaliśmy, kiedy byłam w ciąży, w czasach, kiedy nic w Polsce nie można było dostać. Z robotnikami rozmawia mi się świetnie. Najbardziej mnie śmieszyło, jak przechodzili przez budowę, gdy próbowałam „Ucho, gardło, nóż” i przeklinałam, bo tak mam w roli. A oni zastygali i mówili: „To będzie sztuka? No wie pani...”.

nie bierze beton. Wcześniej teatru, albo z mojej torebki. To nawet zabawne. Przychodzi do mnie aktorka i pyta, czy nie mogłaby mieć nowych pończoch? A ja na to: „Jasne, a jakie chcesz?” i sięgam po portfel. Właścicielem teatru jest fundacja, ale my z mężem bez przerwy udzielamy jej pożyczek.

Ale zapewne jak niemal każda kobieta lubi pani, tak dla przyjemności, kupić sobie jakiś drobiazg. Czy teraz musi pani z takich rzeczy rezygnować?

Zdarza mi się. W tym roku nie było mnie stać na wakacje. Magda Umer kupiła mi bilety i zapłaciła za tygodniowy pobyt we Włoszech. Powiedziałam, że jej oddam, jak będę miała. Teatr ma w sierpniu przerwę w działalności wymuszoną przyłączeniem prądu, ale otwieramy się już 7 września. Musimy. Bo jak nie gramy, to się przewracamy. Odwrotnie niż teatry państwowe, które zarabiają, kiedy nie pracują, bo w nich spektakl kosztuje więcej niż wpływy z biletów.

Boli, kiedy odmawia sobie pani przyjemności?

A skąd. Ja mam już tyle lat i tyle dzieci, że od dawna nie rozpaczam, kiedy nie mogę sobie czegoś kupić.

Cała Polska się dziwi, że pani – gwiazda, która mogłaby odcinać kupony od tego, co osiągnęła, zdecydowała się na ciężką, codzienną robotę. Pani się sobie nie dziwi?

Już nie, bo ja tak uwielbiam ten teatr i jest mi tu tak dobrze, że teraz, kiedy dzieci są na wakacjach, nie widzę powodów, żeby stąd wychodzić. Na pewno nie dziwi mi się nikt, kto mnie kiedykolwiek widział na scenie. I będę tu bez ograniczeń, dopóki to miejsce nie stanie na nogi. Jestem tu cały czas potrzebna. A dziwię się czasem, choć mieszam to zdziwienie z miłością, wdzięcznością i szacunkiem, mojemu mężowi, którego w to zamieszanie wciągnął wir zdarzeń. On nadzoruje budowę, mnóstwo rzeczy załatwia, ale na spektaklach bywa rzadziej. Jest już tak zmęczony wszystkim, co premierę poprzedza, że woli wreszcie spokojnie wrócić do domu i zająć się swoimi sprawami. Bo przecież my jesteśmy w takim wieku, że czas na uroki życia po ciężkim jarzmie zawodowym.

Jak przy tej całej buchalterii, remoncie przedstawia się pani na myslenie o sztuce, o roli?



ROBERT JAWORSKI/FORUM

Odkąd Roman Osadnik zajmuje się zarządzaniem, uspokoiłam się i staram się nie wtrącać.

I nie śnią się pani po nocach cyfry?

Już nie, wcześniej owszem. Budziłam się z krzykiem, dusiło mnie, dręczyły mnie zmyły. Odpuściłam, bo bym zwariowała. Teraz tylko sprawdzam, czy bilety się sprzedają. Jeśli nie, to muszę się zastanowić dlaczego. Wina spoczywa na mnie, bo to ja dokonuję wszystkich artystycznych, reperturowych, często obsadowych wyborów. Całe życie planowałam wszystko na kilka lat do przodu i, jak każdy aktor, uczyłam się psychologii społecznej. To się teraz bardzo przydaje.

Jak zdecydowała pani o założeniu teatru? Jest wielu ludzi niezadowolonych z pracy w dużych korporacjach, marzą o własnym biznesie, ale się boją. U pani zdecydowało jakieś wydarzenie, rozmowa?

To narastało powoli. Najpierw przez 13 lat pracowałam w Teatrze Ateneum. Odeszłam, bo nie mieściłam się w tamtym zespole. Potem byłam w Teatrze Powszechnym. Przez 15 lat pracowałam tam bardzo ciężko. Przycho-

dziłam do dyrektora i mówiłam: „Za dużo gram, nie mam siły”. A potem kilka razy przyszłam ze swoją propozycją i usłyszałam: „Nie, bo zespół się nie zgadza”. „Małą Steinberg”, mimo że miałam na jej produkcję pieniądze, musiałam zrobić w Teatrze Studio. Podobnie było z „Opowiadaniem zebrań”, które wyprodukowałam w Teatrze Komedia. Wreszcie pomyślałam, że tak dalej być nie może. A jeszcze jak doszło do tego, że mój jubileusz musiałam zrobić w Teatrze Studio, uznałam, że to wszystko jest na głowie postawione. Ale nie od razu myślałam o własnym teatrze. Wydawało mi się, że zbliżam się do emerytury.

Zaskoczyła pani samą siebie tą wołką?

Tak. A potem się przestraszyłam. To był impuls. Myślałam, że może coś wynajmę... Ale okazało się, że wszystkie sale w Warszawie najpierw trzeba wyremontować. Prawnicy radzili mi, że skoro zamierzam zaangażować pieniądze, czas i autorytet, to lepiej coś kupić. Wzięłam Polonię, bo była najtańszą z sal kinowych właśnie wystawionych na przetarg. Wszyst-

kie prywatne pieniądze zainwestowaliśmy z mężem w hol teatru, który jest własnością miasta, wcale nie w dużą salę, która należała do nas i została przekazana mojej fundacji. Tym bardziej jestem wdzięczna Ministerstwu Kultury, że dało mi pieniądze na część remontu.

Ile pieniędzy zostało już zainwestowanych w teatr?

Nasze prywatne trzy miliony oraz dwa i pół miliona państwowych dotacji, czyli razem pięć i pół. Nie licząc materialnej pomocy od wielu firm.

A ile jeszcze potrzeba?

Pieniądze, które mamy z Ministerstwa Kultury, pozwolą doprowadzić dużą salę do takiego stanu, że będą mogli wejść do niej ludzie. Pod warunkiem, że ktoś nam jeszcze da 130 tysięcy zł na fotele i kolejne 150 tysięcy na deski sceniczne, bo nie mamy. Nie mamy też ani grosza na wykończenie tej sali i garderób. Potrzeba jeszcze około połowy miliona złotych. Jesienią ludzie wejdą tu być może na beton, ale będzie wszystko widać, będą wisiały lampy, będzie niezła słyszalność, kurtyna i urządzenia scenicz-

ne. Czyli to, bez czego nie może istnieć profesjonalna scena.

Skąd weźmiecie te pieniądze na wykończenie?

Ani publiczności, ani aktorom wykończenie sali nie jest potrzebne. Po co innego przychodzą do teatru. Ważniejsze jest, co zobaczą na scenie.

My tu gramy półtora roku bez fryzjerki, czasem jest garderobiana. Jak zaczynaliśmy, był mróz, a aktorzy przebierali się betonnie, który zastygł, i kompletnie bez światła. Agnieszka Krukówna jako „Stefcia Ćwiek” wyskakiwała na ten beton w majteczkach i wracała na scenę z ubrudzonymi nogami. I nikt nie miał pretensji. Spektakle się opóźniały, bo kierowca, który mi przewoził beton, nie nosił zegarka. Przyjeżdżał na pół godziny przed przedstawieniem, robotnicy wyładowywali, biegali z taczkami, a ja wychodziłam do publiczności i mówiłam: „Bardzo państwa przepraszam, musimy wyładować beton. Taka jest różnica, że wy nie zastygacie, a on tak”.

I jak reagowali?

Bosko. Mimo że betoniarka dymiała na nich spalinami, a siedzieli na krzesłach za 20 zł. Takich, co po tygodniu się wyginają i są strasznie niewygodne. Przeżywali tortury! Wiedziałam, że nie wolno nam zrobić spektaklu, który ma dłuższy akt niż godzinę. Wyjątkiem była „Stefcia Ćwiek w szponach życia”, bo to śmieszny spektakl, więc łatwiej wytrzymać. A ile razy siadło nam światło! Na przykład, kiedy grałam „Shirley Valentine”. Mówiłam: „Bez nerwów, mamy awarię. Przecież gramy na budowie”. Publiczność jest rewelacyjna. Cała grupa ludzi tworzy ten teatr niczym kościół parafialny. Mówią: „Byłam już z siostrą, ale przyjdę z matką, przyjdę z koleżankami, bo pani musi to zbudować”. Są ludzie, którzy jeśli nie

Stało się dla pani jasne, że nie wygody i teatralna otoczka, a kontakt z widzami jest najważniejszy? Siedzieliśmy przy obiedzie z Andrzejem Wajdą i mówiliśmy o tym, czym jest teatr. Andrzej widział nasze spektakle. Powiedział: „Wszystko się zgadza, najważniejsze, żeby ludzie obejrżeli historię, zrozumieli ją i byli zaangażowani, żeby wciągnąć ich emocjonalnie w opowieść. Najgorsze są piękne obrazki, które zostawiają widzowi obojętną”. Wybierając te teksty i spektakle, chciałam pokazać, że obchodzi mnie teatr przyjaźni z publicznością i dialogu, a nie taki, gdzie ktoś coś robi na scenie, a inny go ogląda i podziwia.

Czego się pani uczy od publiczności?

Od 30 lat co wieczór uczę się od widzów, jak grać. Bo żeby opowieść była pełna, muszą się tu wzruszyć, tu przestraszyć, a tu uśmiechnąć. Uczę się, jak to zrobić, żeby nasze języki się nie mijaly.

A ma pani w sobie cenzora, który mówi, że czegoś nie wolno wystawić, bo ludzie nie przyjdą?

Jasne. Zawsze go miałam. Kieruje się własnym gustem i tym, co wydaje mi się aktualne, co krąży w powietrzu. Teatr Polonia jest w tej chwili obłożony propozycjami. Przychodzi mnóstwo ludzi, chcą tu grać, reżyserować, przynoszą teksty. Na najbliższe półtora sezonu już wszystko zaplanowaliśmy. Boję się, że pojawi się kolejny świetny temat, a ja nie będę mogła go wystawić. Mała scena będzie się zajmowała kobietami. One już wiedzą, że to jest ich miejsce, chcą tu przychodzić. Są wierną widownią i chcą oglądać historie o sobie. Chcą się z siebie samych choćby śmiać i przyciągają tu mężczyzn, żeby im to pokazać. Na dużej scenie będą rzeczy, które wydadzą mi się warte zrobienia. Na przykład jesienią jako reżyser „Czterech siostr” zadebiutuje tu Natasza Brooka, żona Petera Brooka. Już nie mogę się doczekać.

A jeśli okaże się, że teatr z ambientnym repertuarem, o którym pani marzy, nie zarabia. Zamknie go pani, sprzeda?

Nie sprzedalabym. Jest strasznie dużo ludzi, którzy chcą tu grać i być może mają lepsze, bardziej opłacalne pomysły, przy których sala byłaby pełna. Pewnie bym im ten teatr wynajęła, a sama się oddaliła...

Ode mnie odbierają telefony „wszyscy święci”. Jedni mówią: „Dobrze, to ile pani potrzeba tego betonu?”. Inni, że absolutnie nie mogą pomóc. Ale telefony odbierają. Niektórzy dyrektorzy i prezesi chcą mnie zwyczajnie zobaczyć z bliska



STEFAN MACZEWSKI/REPORTER